



ROZMOWA Z AGNIESZKĄ GROCHOWSKĄ

GODZĘ SIĘ NA WIĘKSZE RYZYKO

Mam wrażenie, że naszą pokoleniową słabością jest nieumiejętność stawiania granic – aktorka **AGNIESZKA GROCHOWSKA** o walce o siebie, sile życiowych schematów i tremie

ROZMAWIA JACEK TOMCZUK

NEWSWEEK: Dwie szczęśliwe pary jadą z dziećmi na wyspę Bornholm. Majówka okazuje się dla wszystkich koszmarem. Czy „Fucking Bornholm” to bardziej film o kryzysie 40-latków, beznadziejnych facetach, czy o zagubieniu kobiet?

AGNIESZKA GROCHOWSKA: Pewnie trudno wyodrębnić jeden problem. Nasze kryzysy, trudności wpływają na siebie nawzajem. Moją bohaterkę poznajemy w momencie szczególnym. Pozornie wszystko wygląda bezproblemowo. Maja ma męża prawnika, dwójkę dzieci, którym poświęciła prawie całe życie. Kiedy jednak przeczytałam scenariusz, pomyślałam, że jest jedną z wielu współczesnych kobiet, które pomimo pozorów szczęścia mają duży problem: straciła umiejętność nieokłamywania samej siebie, a to doprowadza ją do kryzysu. Tak głębokiego, że jeżeli ma dalej żyć, musi zdecydować się na zmiany.

Jak się okłamywała?

– Prowadzi zabawę w życie tak jak wielu z nas. Jak to wygląda? Zakochujemy się w kimś, zostajemy parą i wyobrażamy sobie, że dorosłe, dobre życie polega na odtworzeniu jakiegoś wzorca, którym wcześniej nasiąkliśmy: to dwójka dzieci, fajny dom, samochód, długi weekend za granicą... Próbujemy wypełnić ten obraz, jakby nie zauważając, że nie uwzględniliśmy w nim dużo ważniejszych spraw – wolności, bliskości, bezpieczeństwa.

Jeśli ktoś nagle odbiera nam wolność, to w naturalny sposób upominamy się o nią, walczymy, chcąc ją odzyskać. Tyle że wiele rzeczy w życiu nie dzieje się nagle. Bywa, że wolność czy inne fundamentalne wartości tracimy powoli, dzień po dniu, niemal niezauważalnie. Rezygnujemy z wolności, a tym samym z sie-

bie, kawałek po kawałku. Moja bohaterka przez lata nie stawiała w związku warunków. Budowała rodzinę, godząc się na to, co proponuje jej partner. W pewnym momencie zaczęło ją to uwierać, ale zrobiło się już za późno. I ciężko wyjść z tej sytuacji, bo są dzieci, bo jest poczucie odpowiedzialności, bo do tej pory przecież nic nie mówiła, bo jest spełniona w tym, że służy dzieciom, bo wszystko ogarnia. Wierzę, że do pewnego momentu da się tak budować związek, że można doskonale spędzać czas na robieniu świetnych zakupów, gotowaniu kolejnej egzotycznej zupy, zabieraniu dzieci na różne ciekawe zajęcia... I te prace na tyle wypełniają czas i uwagę, że w sumie ciężko po latach stwierdzić, czy to wszystko jest nadal ważne i co więcej – czy ja w takim życiu jestem zadowoloną osobą.

I jak zawalczyć o siebie?

– I co to właściwie znaczy? Trochę jak z mówieniem prawdy, niby wszyscy jesteśmy za tym, żeby tak robić, ale praktyka jest dużo bardziej skomplikowana. Przede wszystkim dlatego, że możemy zranić innych. Co wtedy? I co zrobić, kiedy nie jesteśmy w stanie mówić prawdy nawet samemu sobie? Z tej perspektywy kłamanie nie jest już czymś, co robimy z premedytacją. Z walką o siebie jest podobnie.

To film o pokoleniu 40-latków, którzy mają kasę na kampery, są nowocześni i modni. Więc dlaczego ich życie rodzinne sypie się koncertowo?

– Ludzie tego pokolenia zostali wychowani w całkowicie patriarchalnych rodzinach i takimi wzorcami nasiąkli. Tymczasem nastąpiła wielka zmiana. I choć się z nią identyfikujemy, to jej

przyjęcie oznacza, że już jako dojrzały ludzie właściwie musimy zaprzeczyć wszystkiemu, w co wierzyliśmy jako dzieci. Powierzchnie to rzeczywiście robimy. Wiemy, że chcemy żyć inaczej niż nasi rodzice, chcemy być partnerscy, nowocześni, bliscy dzieciom. Ale jak już zaczynamy spełniać te dorosłe życia, to powoli, rok po roku, wycofujemy się z tych ambicji. I nagle w sytuacji kryzysu widzimy, jak bardzo jednak jesteśmy osadzeni w starych schematach. Moja bohaterka Maja, nowoczesna kobieta, po kilku latach małżeństwa widzi, że chcąc nie chcąc stała się tradycyjną matką Polką, poświęcającą się dla dzieci i męża.

Bo nie potrafi inaczej?

– Mam wrażenie, że naszą pokoleniową słabością jest właśnie nieumiejętność stawiania granic. Na poziomie racjonalnym już wiemy, że trzeba to robić, że to konieczne w parach, rodzinach, w pracy... Ale w praktyce odpuszczamy to sobie, bo to nie jest przyjemne. Nie umiemy w sposób spokojny, nie nerwowo powiedzieć: „nie podoba mi się to”, „nie chcę tak, mam inny pomysł”. Nie jesteśmy nauczeni w sposób neutralny powiedzieć, czego chcemy. Ale też nie umiemy tego przyjąć od partnera. Wszystko jedno, czy chodzi o seks, spędzanie czasu, czy zakupy. Nie dajemy sobie prawa do wyartykułowania w sposób spokojny swojej chęci albo niechęci. Mamy kłopot z dawaniem sobie wolności nawet w małych sprawach. Na przykład nadchodzi weekend i jedna osoba mówi: mamy zaproszenie do wujka na herbatę, musimy pojechać. Co zrobić, kiedy partner ma w tym czasie wielką ochotę poczytać książkę w domu?

Jak to powiedzieć?

– No właśnie. Jak to powiedzieć, żeby druga osoba nie usłyszała: skoro nie chcę z tobą spędzić tych dwóch godzin, to już cię nie kocham. Trudno wyjść ze schematu, który mamy w naszych głowach, że szczęśliwy związek polega na nieustannym spędzaniu ze sobą czasu. Można kogoś kochać, szanować, a jednocześnie od czasu do czasu mieć ochotę zrobić coś innego niż partner. I że to nie jest skierowane przeciwko niemu. Z obserwacji otoczenia i własnego doświadczenia wiem, że to trudne.

Bo w związku każdy ciągnie we własną stronę.

– Pewnie psycholog by powiedział, że skoro boimy się rozstać na dwie godziny, to znaczy, że te nasze rodziny, związki są podsztyte wielkim lękiem. Bo gdybyśmy czuli się bezpiecznie, mówienie o swoich potrzebach nie byłoby takie trudne. A tak pilnowanie swoich granic, wolności jest bardzo wyczerpujące i wymagające. Więc w końcu macha się ręką i zamiast czytać, idzie się do tego wujka na herbatę.

Jeśli czegoś się nauczyłam w życiu, to tego, że dobry związek można zbudować tylko wtedy, kiedy umie się stawiać granice. Osoby z mojego pokolenia, kiedy wchodziły w związek, mając 20 lat, zwykle nie umiały tego robić.

Bo nikt nas tego nie nauczył.

– Kobiety od pokoleń są uczone, że trzeba się poświęcić dla rodziny, dać z siebie wszystko. Owszem, możemy potem powiedzieć, że jesteśmy zmęczone, wykończone, mamy dość, ale z drugiej strony mamy z tego bardzo wymierne korzyści. Bo dzięki swojemu zaangażowaniu kontrolujemy całą sytuację rodzinną. Ten problem dotyczy też mojej bohaterki: Maja poświęca się rodzinie, nie dopuszcza, niby jest pokrzywdzona, a jednocześnie nie dopuszcza, że jej partner ma inny pomysł na jakąś sytuację, rozwiązanie. Ich filmowy związek, tak jak wiele w naszym pokoleniu, nie jest partnerski, ale przykładają się do tego obie strony, które nie respektują swoich granic.

Mężczyźni w filmie są potwornymi bucami. Jeden to karykatura patriarchalnych stereotypów, drugi właściwie

boi się kobiet. Jest z nami aż tak źle?

– Rzeczywiście, to film dość krytyczny wobec mężczyzn z mego pokolenia. Prywatnie mam o nich lepsze zdanie. Znam wielu 40-latków, którzy się postarali stworzyć związki na innych zasadach niż ich ojcowie. Choć często musiały się rozpaść ich pierwsze związki. Na szczęście naukę wykorzystują w kolejnych. Ale doceniam ich wysiłek. Wszystkiego uczą się od nowa.

20 lat temu skończyła pani szkołę aktorską. Pani profesor, Jan Englert, powiedział, że kiedyś uprawianie tego zawodu było łatwiejsze, liczyła się technika, za którą można się było schować. Dzisiaj aktor musi być gotowy do czerpania z własnych doświadczeń, publicznie wypruć z siebie flaki.

– Moja perspektywa jest inna, choć Janowi Englertowi dużo zawdzięczam. Nie dość,

że był opiekunem mojego roku i wiele mnie nauczył, to jeszcze na drugim roku zaangażował mnie do Teatru Telewizji. Na planie „Beatryks Cenci” spotkałam się z takimi osobowościami jak Ewa Wiśniewska, Mariusz Bonaszewski czy Bartek Opania. To Jan Englert wpoił mi rodzaj idealizmu w uprawianiu tego zawodu. Powtarzał, że powinniśmy grać w teatrze i czekać na ambitne, jak najciekawsze role filmowe.

Tylko skąd je brać?

– Podczas wakacji po trzecim roku dostałam od dyrektora Teatru Studio w Warszawie Zbigniewa Brzozy telefon z propozycją: czy nie zechciałabym wystąpić w spektaklu „Amadeusz” u boku Zbigniewa Zapasiewicza? Tak więc zamiast robić w szkole studenckie dyplomy, brałam już udział w próbach do repertuarowego spektaklu. Na dodatek kiedy inni rozglądali się za pracą, ja już miałam propozycję etatu w tymże Teatrze Studio. Poza tym w 2004 r. Polska weszła do UE. Pojawiały się pieniądze na międzynarodowe produkcje filmowe. I też na tym skorzystałam.

Jak?

– Kiedy zdawałam do liceum, chciałam pójść do klasy z językiem angielskim i włoskim. Zabrakło mi punktu i trafiłam do



NIE JESTEŚMY NAUCZENI
W SPOSÓB NEUTRALNY
POWIEDZIEĆ, CZEGO
CHCEMY. MAMY KŁOPOT
Z DAWANIEM SOBIE
WOLNOŚCI NAWET
W MAŁYCH SPRAWACH



Kadr z filmu
„Fucking Bornholm”
w reż. Anny Kazejak

niemiecko-rosyjskiej. Bardzo dobrze mówiłam po niemiecku i kiedy zaczęły powstawać koprodukcje, wskoczyłam do nich jako jedna z pierwszych polskich aktorek. Szybko zaczęłam grać za granicą i czerpać z tego korzyści. Znalazłam się na liście Shooting Stars na festiwalu w Berlinie, potem pojawiły się kolejne propozycje, zagraniczny agent. Był moment, kiedy robiłam więcej filmów za granicą niż w Polsce. Mogłam wybierać interesujące scenariusze i role nie tylko spośród naszych produkcji.

Ale były też lata, kiedy grała pani zdecydowanie mniej.

Były chwile wahania, czy iść do serialu, komedii romantycznej i zarobić na mieszkanie, auto?

– Jasne, nie wiedziałam, kiedy będzie następny film i czułam ogromny stres, co dalej. Ale nie byłam w stanie podjąć decyzji, że robię coś wyłącznie dla pieniędzy. Chyba najbardziej bałam się nie ich braku, bo jakoś wierzyłam, że zarobię na życie, ale że robiąc coś tylko dla kasy, wpakuję się w rutynę. Że zbudzę się za ileś lat z poczuciem, że robię ciągle to samo i popadam w marazm, zamiast się rozwijać. Lęk przed tym był silniejszy, choć między jednym telefonem a drugim czasami mijał rok.

Kiedy pani się uspokoiła i uwierzyła, że telefon będzie dzwonił?

– Nie uspokoiłam się. Nie wiem, czy w ogóle da się w tym zawodzie uspokoić. Może raczej zaczynam się przyzwyczajać, że już tak będzie. Owszem, dzisiaj wiem, że mam plany na trzy filmy, czyli rok pracy, i nie powinnam mieć powodów do stresu. Ale to sytuacja absolutnie wyjątkowa. To kwestia przyzwyczajenia, ale takie życie ma też zalety.

Jakie?

– To nieustająca przygoda, zaskoczenia, wyzwania. Że mam możliwości wyboru zadań, jakich się podejmę, mogę robić rzeczy, jakich jeszcze nie robiłam.

A cena?

– Niepewność, czy się dobrze zrobiło, wybrało, strach o to, jak mi poszło, co powiedzą inni. Kiedyś stosowałam surową autocenzurę, byłam krytyczna i ostrożna, bardziej liczyłam się z tym, co powie środowisko. Teraz jestem odważniejsza. Godzę się na większe ryzyko.

Pandemia coś zmieniała w pani podejściu do zawodu?

– Tuż przed nią przygotowaliśmy się do wejścia na plan „Żeby nie było śladów”, czyli historii pobicia i śmierci Grzegorza Przemyka. Byliśmy jako ekipa jak rozpędzona maszyna. I nagle okazało się, że nie wchodzimy na plan. Zostałam w mieszkaniu z tymi swoimi, ale też mojej bohaterki emocjami. Jestem aktorką, która żeby zrozumieć rolę, jaką gra, musi przepuścić ją przez swoje emocje, przemyśleć. A jak dużo kręciłam, to w naturalny sposób dużo moich myśli krążyło wokół pracy. Kiedy się zatrzymałam, poczułam, że byłam maszyną do grania, wytwarzania cudzych emocji. Pandemia to był moment, kiedy trzeba było rozpoznać,

które są moje, a które miałam tylko zagrać, oddzielić jedne od drugich. To było trudne, ale dobre doświadczenie.

Pani podobno boi się wchodzić na plan filmowy.

– Za każdym razem, jak mam wejść na plan, jestem przerażona. Jakbym robiła to pierwszy raz w życiu. Pierwszy dzień jest koszmarem, zastanawiam się, co tutaj robię, czy dam radę. Dopiero kiedy poczuję się częścią tej filmowej maszyny, która na całym świecie wygląda tak samo, powoli wraca spokój. Z roku na rok, z filmu na film ten początek przeżywam coraz gorzej. Trema jest straszna, ale kiedy już mija, pojawia się absolutna wdzięczność za to, że mogę uprawiać swój zawód.

Dyskusja o MeToo w polskim kinie już się skończyła czy jeszcze na dobre się nie zaczęła?

– Ona trwa. Widzę tę zmianę wśród moich kolegów reżyserów. Na planie jest więcej obopólnego szacunku, żarty, które były normą parę lat temu, dzisiaj już nie przechodzą im przez gardło.

Jakie?

– O kobietach, seksistowskie. Poza tym my, aktorki, mamy dużo większą śmiałość w reagowaniu na sytuacje, które nam nie odpowiadają.

Reżyser to wciąż bóg na planie?

– To też się zmienia. Reżyserzy sami zaczęli się ustawiać w innej roli. Zrozumieli, że nie da się już utrzymać zamordyzmu, jaki był kiedyś. Muszą i też chcą być partnerami, budować zespół, który będzie chciał z nimi pracować.

A koordynator scen intymnych się przydaje?

– Dla mnie ma to mniejsze znaczenie, bo jestem doświadczoną aktorką, nie boję się powiedzieć, co myślę, kiedy ktoś chce przekroczyć moje granice. Takie osoby na planie dadzą poczucie bezpieczeństwa głównie mniej doświadczonym aktorkom, które mogą się bać wyrazić swoje zdanie.

Zofia Wichłacz mówiła w „Newsweeku”, że sceny intymne w polskim kinie przez lata były jedną wielką improwizacją.

– To prawda. Nie przypominam sobie sytuacji, w której przekroczone by moje granice, ale na pewno te sceny można było nakręcić dużo sprawniej i z większym szacunkiem dla aktorów. Pamiętam czasy, że kręciło się je przy całej ekipie, która wręcz się schodziła, żeby popatrzeć. Nikt nikogo nie wypraszał, bo panowało przeświadczenie, że aktor jest od grania, a scena seksu jest taka sama jak podawanie obiadu do stołu, więc nie róbmy ceregieli. Ale nie chodzi tylko o nagość czy seks. Zdarzają się również inne, trudne emocje do zagrania. Przez lata nikt nie zastanawiał się, czy aktor chce je kręcić przy ekipie, która w międzyczasie dowcipkuje, żartuje, a on musi w tym czasie wypluć swoje wnętrze. Dzisiaj już wiadomo, że nie wszyscy muszą w tym uczestniczyć. I to jest dobra zmiana. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl